

EXPRESS

WIECZORNY ILUSTROWANY.



ROK III. | ŁÓDŹ, PONIEDZIAŁEK 23 MARCA 1925 r. | NUMER POJEDYŃCZY 20 GROSZY. | Nr. 67

Szantaż polityczny, czy wybryki młokosów.

Anonimowa „Samoobrona Robotnicza“ wydała „wyrok śmierci“ na dyrektora łódzkiego zarządu miejskiego p. J. Zalewskiego.

Odpis tego „wyroku“ przestano redakcji „Expressu“ pocztą.

Dzisiejsza poczta poranna przyniosła nam następujący „dokument“:

SAMOOBRONA ROBOTNICZA,
L. dz. 349/25.

ODPIS.

Warszawa, w marcu.

Na posiedzeniu w dniu 15 marca br. rozpatrzone sprawy łódzkie i zważywszy:

po 1-sze, że p. Józef Zalewski prowadzony został tymczasowo, zaufaniem pewnych grup robotniczych, do pełnienia obowiązków dyrektora magistratu łódzkiego,

po drugie, że wyniesiono go z najzwyczajniejszego stanowiska urzędniczego na najwyższą godność dla dobra sprawy robotniczej,

po trzecie, że ogół robotniczy, zwłaszcza łódzkie związki pracowników miejskich, wobec powyższych faktów, miały najzupełniejsze prawo żądać od p. Z. należytego traktowania swych postulatów, zmierzających od poprawy i zabezpieczenia bytu pracowników miejskich,

po czwarte, że będąc czasowo na stanowisku dyrektora p. Z. bacząc skąd wyszedł, winien był pamiętać, aby taktem i uczciwym traktowaniem spraw urzędowo - personalnych — zaskarbić sobie zaufanie bezstronnego pracodawcy,

po piąte, p. Z. zawiódł haniebnie pokładane w nim nadzieje i nadużył zaufania tych grup, które go wyniosły,

po szóste, że będąc w znowu z jawnymi wrogami klasy robotniczej, działał świadomie na szkodę ogółu pracowników miejskich,

że obalił nieprawnie pragmatykę, że opracował i przełamał nieprawie konglomerat nowych przepisów, że za jego przyczyną zniesiono trzytysięczną pensję,

że zgłaszał ciągle na magistrat haniebne wnioski szkodzące ogółowi pracowników miejskich,

że oczerniał pracowników zawsze i wszędzie,

że od czasu objęcia stanowiska dyrektora przez niego zaczęły dopiero

dziać się bezprawia i krzywdy pracownikom miejskim,

że ustanowił rugi partyjne,

że dla rzekomej redukcji wyrzucił na bruk 113 pracowników, przyjmując na ich miejsce nowych,

że obecnie korzystając bezprawnie z

rozporządzenia p. prezydenta Rzeczypospolitej o zrównaniu poborów dnia 30 12, 1924 przy tej okazji znów chce utracić niemiłych sobie urzędników stabilizowanych i wyrzucić na bruk, na śmierć głodową skazać ich i rodziny tych pracowników,

że taktyką swą wyrządził ogromne szkody ogółowi pracowników miejskich w Łodzi,

że został wyrzucony ze związku urzędników jako prowokator i największy szkodnik,

że stan taki dłużej trwać stanowczo nie może,

że zawiódł interwencje u władz państwowych

postanowiono

wydać wyrok śmierci na J. Zalewskiego przez zastrzelenie.

Wykonać go natychmiast.

Ogłosić w pismach łódzkich.

Wykonanie wyroku powierzyć ekspozyturze łódzkiej.

, podpisy...

**

Mamy więc tu do czynienia z wyraźną próbą szantażu drogą presji moralnej bowiem trudno jest dokument ten brać na serio.

Aczkolwiek stale występowałam przeciwko poczynaniom dyrektora zarządu miejskiego, Józefa Zalewskiego, stanowczo jednak potępić musimy tego rodzaju szantaże i prowokacje z jakichkolwiekby one nie pochodziły stron.

Wszelkie tego rodzaju próby szantażu spotkać się muszą z bezwzględny odporem społeczeństwa, gdyż wszelkiego rodzaju walki polityczne, zawodowe i osobiste sprowadzać się muszą do granic zakreślonych konstytucją i prawem.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Przeciwko prezydentowi katolikowi.

Agencja Wschodnia.

Berlin, 21 marca.

Związki ewangelickie wydały płoćmienną, bojową odezwę, nawołującą do wyboru na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej nie katolika, lecz protestanta.

Odezwa w niezwykle gorący sposób wzywa wyborców do niedopuszczenia, aby wybrany został ktoś, mogący zaprzepścić Niemcy, oddając je na pastwę praktyk Rzymu i papieża. Odezwa przytacza okresy, w których Niemcy przechodziły rozłam i bratobójcze walki, spowodowane ręką papieża. Przypomina rozłam i brak jedności w całych Niemczech, jaki miał miejsce przed laty kilkuset, w chwili uzdrowienia — według odezwy — ewangeliji przez Lutera.

Odezwa kończy się wezwaniem, aby niedopuszczono do tego, by w ojczyźnie Lutera rządził katolik, mogący wydać naród niemiecki w jarzmo największego wroga, papieskiego Rzymu, wroga przede wszystkim niemieckiej jedności, wolności i niepodzielności.



Raz na prawo, raz na lewo...

Zamiast Katowic Polska ma otrzymać Karwinę.

Tak proponuje Benesz w swoim projekcie paktu bezpieczeństwa.

Paryż, 22 marca

Chamberlain przedłożył gabinetowi w Londynie projekt paktu bezpieczeństwa, obejmujący państwa wschodniej Europy według planu opracowanego przez Benesza.

Według pogłosek, pochodzących z kół angielskich, dyplomacja niemiecka robiła Londynowi nadzieję porozumienia niemiecko - polskiego przy pośrednictwie li międzynarodówki i na podstawie wymiany Katowic na mające

być odebrane Czechom kopalnie Karwińskie.

Londyn obecnie rozumiał, że Polska w żadne konszachty z Niemcami nie wejdzie. Stąd pochodził wczorajsze doniesienie „Times'a“, że nowy projekt Benesza dopuszcza podobno arbitraż terytorjalny, co Polska wyklucza.

Benesz powołuje się na traktaty Niemiec ze Szwajcarią i Finlandją, dopuszczające w kwestjach żywotnych arbitraż kompromisowy z wyrokiem nie decydującym tylko doradcym.

Posłowie czescy żądają wyjaśnień od swego ministra spraw zagranicznych.

Praga, 22 marca.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu“.

Posłowie Haurcich, Bohr, Kafka i Feierfal zgłosili wczoraj interpelację w izbie, domagając się od Benesza wyjaśnień w sprawie posunięć czeskich na terenie międzynarodowym w związku z projektem paktu gwarancyjnego, wysuniętego przez Niemcy.

Interpelanci domagają się udzielenia odpowiedzi na następujące pytania:

1. Czy p. minister Benesz skłonny jest do udzielenia wyjaśnień o naradach paryskich.

2. Czy ministrowi wiadoma jest szczegółowa treść niemieckiego projektu gwarancyjnego.

Minister Benesz obiecał udzielić odpowiedzi w nadchodzący poniedziałek.

Epidemia grypy w Berlinie rozszerza się z gwałtowną szybkością.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu“

Berlin, 22 marca.

W Berlinie wybuchła w ubiegłym tygodniu epidemia grypy, która pociągnęła za sobą już poważną ilość ofiar.

Epidemia rozszerza się szczególnie wśród dzieci.

Kuratorjum poleciło wobec tego zamknąć szkoły na nieograniczony okres czasu w dzielnicach, które najbardziej dotknięte są epidemią.

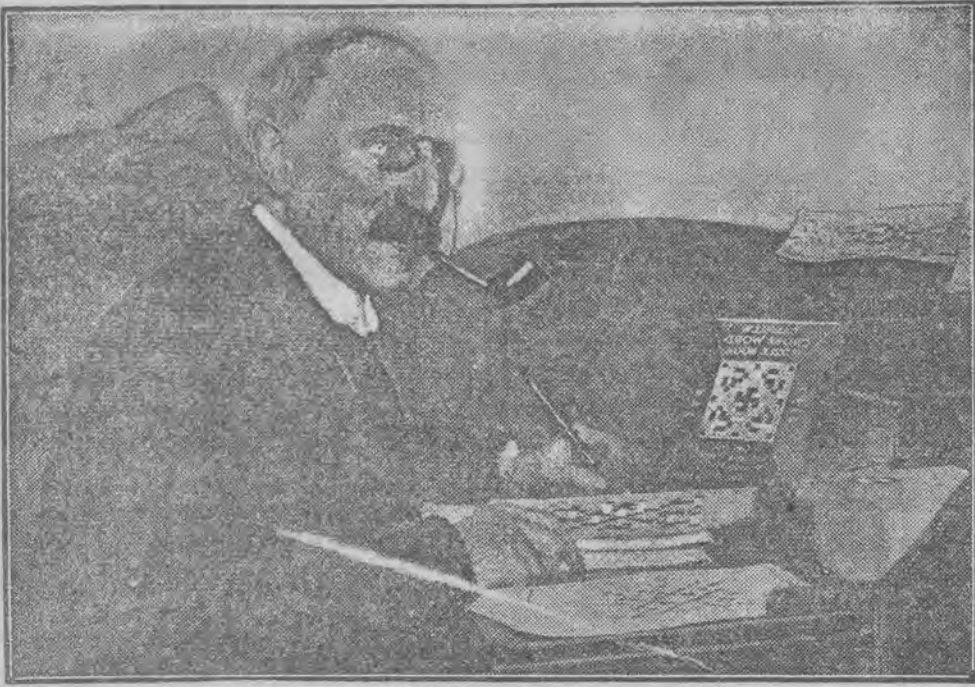
H. Z.

Komuniści czescy chcą się uniezależnić od trzeciej międzynarodówki

Praga, 22 marca.

Niezależna partja komunistyczna, która powstała po rozłamie w czeskiej partji komunistycznej rozwija obecnie szeroką działalność w Czechach za uniezależnieniem się od trzeciej międzynarodówki.

A. S.



Mr. Michał Davis, wynalazca t. zw. „zagadek krzyżówek“ na punkcie których oszalał cały świat, przy konstrukcji jubileuszowej 250 zagadki.



Pierwsza grupa Indian z plemienia „Sioux“ w Europie. W ubiegłym tygodniu wylądowali oni w Bremie i mają występować w cyrkach europejskich.

„Winy podlega karze dwóch lat więzienia, z czego połowa przypada ministrowi skarbu, połowa donosicielowi“.

**Panowie referenci—
jedna z największych plag
Polski współczesnej.**

**Jeszcze jeden kwiatek św.
Biurokracego.**

W krakowskim „Kurjerze Codziennym“ czytamy:

Wczorajsze wydania dzienników zamieściły następującą notatkę:

„Jeden z paragrafów projektu ustawy o prawie autorskim wniesionej w tych dniach do sejmku opiewa:

„Kary pieniężne określone w mniejszej ustawie w złotych polskich powinny być płacone w markach polskich (?) wedle kursu ustalonego przez ministra skarbu w dniu uiszczenia kary“.

Czytamy: czerwone płatki zaczynają nam latać przed oczyma, zieleniejemy ze złości tak gruntownie, że kolor naszej cery przypomina niemal... umysłowość ministerjalnego referenta, który „załatwia“ projekt tej ustawy.

O czym bowiem świadczą tych kilka wierszy?

Przedewszystkiem o niechlujstwie, panującym w biurach ministerjalnych.

Projekt tej ustawy — widać to z treści — był gotowy już przed rokiem, ale rzucono go dopiero teraz na stół obrad izby poselskiej, a p. referent, (który może potem będzie bronił projektu przed komisją sejmową) nie uważał nawet za stosowne przeczytać go.

Po drugie ten pozornie drobny fakt ciekawy będący przedmiotem naszych dzisiaj szczytów rozważań, dowodzi, że wyżsi urzędnicy ministerstwa, rozmaici naczelnicy wydziałów i dyrektorowie departamentów za darmo biorą pieniądze, że niepotrzebnie narażają skarb państwa na szkodę materialną, wynikającą z niszczenia przez nich foteli urzędowych. Po pół u kroć tysiąca piórników siedzi jeden z drugim, jeśli nawet nie przegląda referatu swego podwładnego?

Niedawno przytoczyliśmy opowieść o przyczynach konfiskaty „Monitora Polskiego“. Ten urzędowy organ ogłaszając tekst ustawy o walce z lichwą, uwzględnił tylko częściowo dokonaną w ostatniej chwili zmianę sankcji (grzywny na więzienie) pozostawiając niezmiennym brzmienie ustępu końcowego. Zdmiony obywatel, czytał więc: „Winy... podlega karze dwóch lat więzienia, z czego połowa przypada ministrowi skarbu, połowa donosicielowi“.

Jakże charakterystyczna, jakże bofeśnie prawdziwą jest owa opowieść!

Kobieta, która przebyła Afrykę automobilem. Sensacyjne przygody bohaterskiej podróżniczki francuskiej.

Misja Delingette przebywa obecnie automobilem Afrykę środkową. Składa się z trzech osób: kapitana Delingette, mechanika i., pani Delingette.

Kim jest ta śmiała i przedsiębiorcza kobieta, która nie uległa się ani piaszczystej pustyni, ani lasów dziewiczych, błot i bagien ani ewentualnych ataków ze strony tubylców?

Nazywała się Luiza Pagnan, urodziła się w Gif i była wychowana przez dzielną matkę, która dosyć szybko owdowiała i pozostała na świecie po śmierci męża z pięciorgiem dzieci. Znalazła się w trudnej bardzo sytuacji, która nie pozwalała dostarczyć dzieciom ani dużo wykształcenia ani wielu rozrywek.

Panna Luiza Pagnan nie używała też nigdy żadnego sportu, prócz wczesnego wstawania i zajęć gospodarczych, które wykonywała z wielką umiejętnością, trzeba było bowiem robić wiele rzeczy przy niewielkiej ilości pieniędzy. Była bardzo wysoka, silnie zbudowana, lecz w sylwetce jej było przytym dużo dystyngcji.

Poznał ją wówczas adiutant Delingette, który wówczas już przebył Afrykę z misją półkownika Molla i pomagał w pracy nad ustaleniem mapy Afryki środkowej.

Lubił zawsze przygody i niebezpieczeństwa, marzył o powrocie do egzotycznej krajiny i wyczuł w dzielnej Luizie duszę siostrzaną. Prosił, aby podzieliła z nim trudy i niewygodę życia eksploratora. Pobrali się i wyjechali do Brazaville, gdzie Delingette miał opracować mapę graniczną Kamerunu.

Lecz nie pozostał długo w Brazaville został przydzielony do konwoju i musiał pozostawić żonę w samotności przez kilka tygodni.

Pani Luiza Delingette nie traciła czasu podczas nieobecności męża. Pragnęła poznać bliżej pracę męża i umieć je z nim dzielić. Nauczyła się stenografii, pisania na maszynie i w krótkim czasie pełniła funkcje sekretarki biura wojskowego.

Od tej chwili niemalże nie rozłączała się z mężem. Odbywała z nim wielkie podróże, umiała zaskarbić sobie szacunek wszystkich a była przytym tak dzielna i śmiała, że mąż z absolutnym spokojem zostawiał ją samą w małych, zatraczonych osadach murzyńskich.

Wybuch wojny rozłączył małżonków poraz pierwszy na czas dłuższy. Delingette otrzymał dwie poważne rany w Argonnach i Dardanelach, lecz wyzdrowiał szybko i został mianowany kapitanem.

Po podpisaniu pokoju w Wersalu przydzielono kapitanowi Delingette do ministerstwa kolonii Wprawilo to odbydwóch małżonków w rozpacz. Przyzwyczajeni do rozległych przestrzeni i swobody, dusili się w wielkomijskiej atmosferze Paryża. Ogarniała ich coraz większa nostalgia za Afryką. Nareszcie nadarzyła się okazja podróży: zaofiarowano kapitanowi Delingette misję z ministerstwa kolonii i handlu. Miał w towarzystwie jednego tylko mechanika objechać autem Afrykę, poprzez jej centrum. Raid wynosił około 40,000 klm.

Lecz pani Delingette nie chciała rozstać się z mężem i zrezygnować z podróży. Uzyskano więc i dla niej pozwolenie do wzięcia udziału w misji. Po odpowiednich przygotowaniach wyjechało.

Przy ujściu Oranu do Nigry misja Delingette połączyła się z misją Gradis. Pani Delingette okazywała połączonym misjom nadzwyczajne usługi. Od rana już uwijała się bądź w damskim stroju lub męskim przebraniu, pracowała cały dzień niestrudzenie, nie okazując przytym nigdy zmęczenia.

W Zaarniet obie misje rozstały się i państwo Delingette odbywają dalszą podróż sami. Udają się w ten sposób do Niamej. Przy aucie pęka opona i należy sprowadzić mechanika, który przyłączy się do misji małżonków Delingette.

Od czasu przybycia pp. Delingette do Niamej otrzymywano od nich wiadomości jedynie przy pomocy telegra-

fu bez drutu. Dają znać o sobie z nad jeziora Tchad i zawiadamiali, że jadą poprzez Bangni i Stanleyville nad jezioro Wiktorja.

Ostatnią wiadomość otrzymano od nich z Nairoli, położonego między jeziorem Wiktorja a morzem. Zrobili dotychczas raid długości 10,000 km. czy mają rzeczywiście zamiar dotrzeć aż do południowego przylądka, jak projektował kapitan Delingette?

Marszałek Franchet d'Esperay, biorący udział w misji Gradis pożegnał panią Delingette następującymi słowami: „Dziękując szanownej pani za jej doskonałą kuchnię mogę przesłać Pani na drogę jedno tylko życzenie: oby Pani z kolei nie została spożyta z apetytem przez tubylców.“

Wystawa sztuk pięknych w Rzymie.

Polska Agencja Telegraficzna.

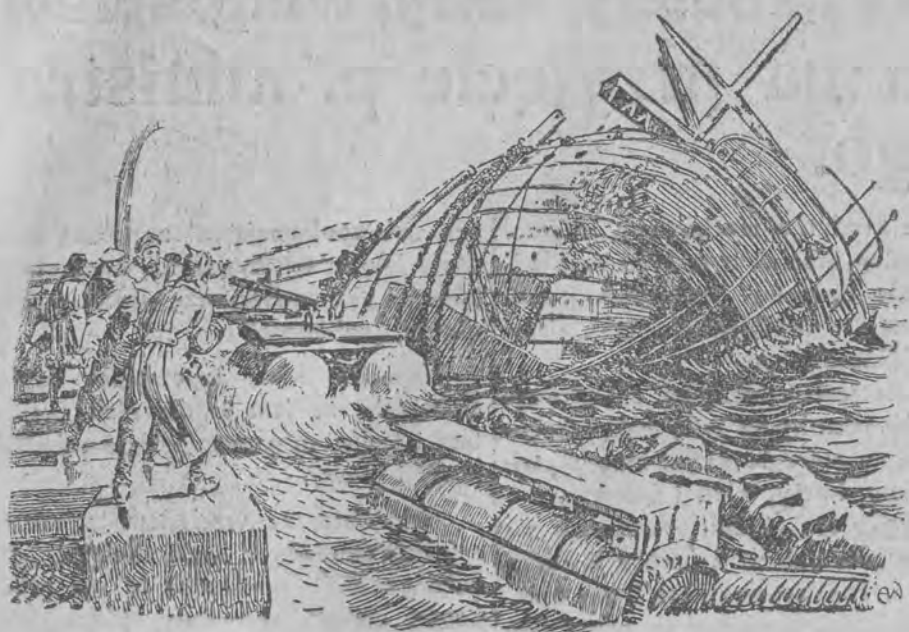
Rzym, 20 marca.

Dnia 28 marca w obecności króla i rządu nastąpi otwarcie międzynarodowej wystawy sztuk pięknych. Komisarz polski artysta malarz Stanisław Rzecki wykończył urządzenie sekcji polskiej, która mieści się w oddzielnej sali. W wystawie tej bierze udział grupa polska „Rytm“. Wydato też specjalny katalog.



Kłódź ratownicza najnowszej konstrukcji, która wybudowana została w Anglii.

Katastrofa powodzi w Petersburgu.



Zniszczony okręt w porcie.

Pułkownik Garnczarski zażądał satysfakcji honorowej od pośta Miedzińskiego. Wobec odmowy pośta Miedzińskiego, sekundanci pułk. Garnczarskiego spisali protokół jednostronny.

Jak już donosiliśmy w swoim czasie poseł Miedziński na posiedzeniu sejmowej podkomisji politycznej poruszył sprawę przeniesienia pułkownika Garnczarskiego na stanowisko p. o. szefa wojkowego sądu okręgowego w Łodzi, przy czym użył zwrotu: „Gdyby chodziło nie o pułkownika korpusu sądowego, lecz o jakiegoś sierżanta prowiantowego lub o podporucznika, to za takie przestępstwa, jakie popełnił pułkownik Garnczarski, obaj gniliby już napewno oddawna w kryminalne. Tymczasem pułkowników korpusu sądowego ze splamionym mundurem oficerskim awansuje się z prokuratorów na sędziów”.

Pułkownik Garnczarski uczuł się dotkniętym tym zwrotem i zażądał przez

zastępców załatwienia sprawy w trybie honorowym.

Poseł Miedziński odmówił żądaniu za stępców pośta Garnczarskiego, motywując to tem, że rozprawa budżetowa w sejmie nie została ukończona oraz tem, że nie może przyjmować do wiadomości żadnych pośrednich czy bezpośrednich wezwań od pułk. Garnczarskiego.

Wobec tego zastępcy pułk. Garnczarskiego spisali protokół jednostronny, w którym stwierdzają, iż odmowna odpowiedź pośta Miedzińskiego jest uchyleciem się od udzielenia satysfakcji honorowej, uważają sprawę pułkownika Garnczarskiego za załatwioną dla niego honorowo.

Łódź pod psychozą samobójczą

Ofiary kryzysu przemysłowego zdołano uratować.

Od kilku już miesięcy nad Europą szaleje orkan potwornych mordów, zabójstw i samobójstw.

Jakiś szaf krwi rozpełtał się nad ziemią, którą zrosiły obficie strumienie krwi żołnierzy kilkudziesięciu narodowości w okresie Wielkiej Wojny.

Dzień po dniu, godzina po godzinie wychodzą na jaw okropne, ścinające krew w żyłach morderstwa, tragiczne w swej bezbrzeżnej rezygnacji zamachy samobójcze całych rodzin, wypadki potwornych zbrodni seksualnych i orgie narkotykowe.

Niewielkie echa tej burzy dotarły i do Łodzi — tydzień ubiegły był tygodniem morderstw i samobójstw choć na szczęście, nie były one w wielkim, amerykańskim stylu.

Psychoza samobójcza w Łodzi jest

jedynie odzwierciedleniem krytycznej sytuacji gospodarczej Łodzi — nędza i głód pcha w objęcia śmierci.

Dzień w dzień trucizna, rewolwer i petla zabierają liczne ofiary istnień ludzkich, które uległy w straszliwej walce o byt.

Oto tragiczny rejestr jednego przedpołudnia:

Bezrobotna Tekla Hilchowa w celu samobójczym napiła się esencji octowej.

Bezrobotna Tekla Chrypek, 1. 64, targnęła się na swe życie, wypijwszy wielką dozę esencji octowej.

Robotnik Józef Weizert usiłował pozabawić się życia przez wypicie kwasu siarczanego.

Nieszczęśliwe ofiary kryzysu przemysłowego zdołano uratować lekarz pogotowia.

Trup wisielca w portjerni fabryki.

61-letni staruszek nie mógł przeboleć straty żony i popełnił samobójstwo.

Przed kilku dniami zmarła żona portjera fabryki Szrejnera (ul. 28 p. Strzelców Kamińskich 44) Henryka Cyłkiego.

Cyłkowi zmarła w wieku podeszłym, ale do ostatniej chwili życia od czasu ślubu

kochała niezmiernie swego męża, który stratę żony odczuł bardzo boleśnie.

Wzorowa para małżeńska służyła przykładem całej okolicy, gdzie niejedno krotnie podziwiano zgodne współżycie staruszków.

Po śmierci żony 61-letni Henryk Cyłkie zmienił się do niepoznania.

Cały dzień siedział w portjerni fabryki ze spuszczoną głową, nie przemawiał do nikogo ani słowa, ponurym wzrokiem patrzył się w podłogę i kiwał smętnie głową.

Zauważyli to robotnicy fabryki, starali się go rozweselić jak mogli, ale staruszek na wszystko machał rękoma, uważając, że po śmierci ukochanej żony nic już go nie zdoła rozradować.

Wczoraj o godzinie 11-ej przed południem, gdy dozorca fabryki wszedł do portjerni, zastrygił na miejscu z przerażenia.

Po środku pokoju, na sznurze kołysał się trup staruszka... Wszczęto natychmiast alarm.

Zawezwano telefonicznie karetkę pogotowia.

Przybyły jednak lekarz skonstatował zgon.

Jak się okazało Henryk Cyłkie nie mógł przeboleć straty żony.

Życie straciło dlań urok i nie czekając śmierci — postanowił sam sięgnąć po nią ręką.

Skorzystał z okazji, gdy w portjerni nikogo nie było i

założył sobie neto na szyi.

Trupa zabezpieczono na miejscu wypadku, aż do zejścia władz sądowo-policyjnych.

—fas.—

Na nadchodzący SEZON WIOSENNY

polecamy najwykwintniejsze ostatnie nowości

Jedwabie oraz Wełny

zagr. we wszystkich gatunkach i deseniach

„Soieries“

Piotrkowska 90

— Ceny znacznie niższe —

CYRK A. CINISELLI

KONSTANTYNOWSKA 16

Dziś! w poniedziałek, dnia 23-go b. m. Dziś!

BOKS

Spotkanie 20-to rondowe decydujące

Pinecki stając w obronie swego rodaka Bartkowiaka wyzwał Karscha na boksa! aż do rezultatu

Karsch Gerhard—Pinecki Leon

Herkules z Gór Harcu

Mistrz Polski (Olbrzym)

OLBRZYM I HERKULES w BOKSIE! B. CIEKAWE SPOTKANIE

Dalszy ciąg walki francuskiej

Bryła Sobieski—Bayer Ludwik

Mistrz Europy, Górny Śląsk

Mistrz Europy, Wiedeń

Decydujące

Bartkowiak T. — Nöstrem Olaf

Mistrz Polski, Poznań

Mistrz Finlandji.

W tych dniach **benefis—Wildmana!!!**

— Dużo niespodziewanych atrakcji. —

KINO TEATR CZARY

pod dyrekcją kinoteatru „Luna“

Dziś i dni następnych Dalszy ciąg i dokończenie

wielkiego filmu amerykańskiego

„Europa mówi o tem“

podług powieści Jules'a Verne'a „Podróż naokoło świata“

p. t.

„Na dymiącym wulkanie“

w 2-ch serjach — 12 aktach (4000 metrów razem.)

Film ten pod względem sensacji, techniki i ciekawych zdjęć przewyższa wszystko co się dotychczas widziało.

Początek przedstawień o godz. 4-ej, 6-ej, 8-ej i 10-ej wiecz. w sobotę i niedzielę o godz. 2-ej po poł.

Tajemniczy klub w Grand Hotelu,

którego hymnem bojowym jest piosenka „kobiety, karty, wino, śpiew“ odmówił udzielenia swego lokalu na przyjęcie p. ministra Sikorskiego.

Istnieje w Łodzi instytucja czy też organizacja, której jedynym widocznym znakiem życia jest wzmianka w spisie telefonów „nr. 24-24 Klub 1886 Traugutta 1“.

Nazwa ta nic nie mówi, jest to bowiem nazwa zupełnie kabalistyczna, chyba że jest ona odpowiednikiem „towarzystwa oświetlenia elektrycznego z r. 1886“, które uległo ostatnio metamorfozie narodowościowej i przekształciło się w „Łódzkie towarzystwo elektryczne“.

Obie te instytucje miały pewną wspólną cechę — były doskonale nazewną zamaskowane, czem zresztą klub 1886 odznacza się po dziś dzień.

Niewiadomo zupełnie co wchodzi w zakres działalności tego klubu 1886 zwanego skądinąd klubem miliardów, bowiem członkowie jego w okresach inflacji zajmowali się jedynie dyskontem miliardowych weksli w ówczesnej P. K. K. P.

Członkami klubu tego są potentaci wełny i bawełny, a na czele jego stoi jeden z dygnitorzy „związku eksportowego“, którego eksport sprowadza się do wysyłania swych członków zagranicę w okresie letnim.

Działalność klubu okrywa mgła tajemnicy i tylko od czasu do czasu potężne sylwetki członków klubu ukazują się na balkonie „sali Malinowej“, który po takiej wizycie klubowców 1886 zapelniony jest pustymi fiaskami, przeważnie nie od szampa.

Złośliwi twierdzą, iż wyprawy takie z siedziby klubu mają miejsce tylko wówczas gdy alkoholowe zapasy klubu, wskutek intensywnego zużycia ulegają wyczerpaniu.

Trudno to jednak sprawdzić, gdyż klub 1886 jest doskonale zakonspirowany tak, że nie można nawet skontrolować wersji, jakoby klub ten poświęcony był działalności literackiej, t. zn. pisanaiu memorjałów o konieczności wpro-

wadzenia kredytów markowych, obliczalnych według tabelki z r. 1923 oraz odczytywaniu utworów literackich jednego z menterów wielkiego związku przemysłu włókienniczego.

Faktem jest jednak, że członkowie tego klubu jako hymn swój mają piosenkę, która w refrenie swym mówi: „wivat kobiety, karty, wino i śpiew“...

Do tego oto klubu zwrócono się przed kilkanaście dniemi z prośbą o oddanie swego, komfortowo nota bene urządzonego lokalu, na mający się odbyć bankiet ex re przyjazdu do Łodzi pp. marszałka Rataja i generała Sikorskiego.

Lecz oto wbrew wszelkim przewidywaniam prezes tego klubu odmówił prośbie przedstawicieli miasta, a motywem tej odmowy było... „uniemożliwienie stworzenia precedensu“.

Czyż możnaby sobie wyobrazić, że panowie ci odmówiliby swego lokalu gdyby przed laty zwrócił się do nich „gorodskaja gława p. Pieńkowski“ lub

pan „oberpolicmajster“ z prośbą o oddanie lokalu na urządzenie bankietu dla jakiegoś gubernatora czy nawet podrzędniejszej osobistości.

Napewno nie... zapewniłoby dziesięciokrotnie, że jest to dla nich zaszczytem i łaską, przyczem kornie schyliłby plecy i głowy.

Oczywista, że względem władz rosyjskich panowie ci stale zaciągali „dług wdzięczności“ — władze te na prośbę panów „1886“ zamykały pisma, które śmiały występować przeciw panom przemysłowcom aresztowały robotników którzy ośmielili się żądać podwyżki — słowem „ręka rękę myła“.

Dzisiaj czasy się zmieniły — memorjały panów przemysłowców o represję administracyjną w stosunku do prasy, idą do kosza, to też potentaci wełny i bawełny dają się na rząd, a dasy ich wyrażają się w niesmacznych, ordynarnych nietaktach. —hak

Skutki pocałunku.

Pomiędzy dyrektorem opery w Chicago a żoną tenora Tito Szipa nastąpił przy dy konflikst, który spowodowała rzecz niewinna — pocałunek.

Tito Szipo jest tenorem i powszechnie w Ameryce nazywanym „spadkobiercą Karuza“. Głos jego wywiera działanie niemal hipnotyczne, zwłaszcza na kobiety o histerycznym podkładzie, które mdleją, płaczą słuchając go i... są mimo to ogromnie jego wielbicielekmi. Niewłaściwą jest sytuacja żony tenora ściganego przez kobiety i w pewnych, trudnych dośrodkach okolicznościach małżonka podziwianego Tita ustraciła panowanie nad sobą. Stało się w sposób następujący: pewnego dnia małżonkowie załatwiali doniosłej wagi sprawunki. Pani Szipa była właśnie bardzo zajęta wyborem perfum, kiedy nagle... usłyszała za sobą wyraźny odgłos pocałunku. Odwróciła się i ujrzała, o zgrozo! Jakaś młoda dziewczyna zarzuciła mężowi jej ręce na szyję i przywarła mocno do jego policzka. Pani Szipa była oburzona! Flakonik zakupionych perfum wypadł jej z rąk i uwolniona od tego ambarasu żyżyła całej energii i siły, aby mocno wypoliczkować zuchwałą dziewczynę. Wszczął się popłoch, a agresywną nieznaną wyniesiono ze sklepu i zapakowano wśród pisków i histerycznych okrzyków do auta.

W całym tym zajściu nie było nic nadzwyczajnego. Skomplikował sprawę dopiero dyrektor opery, który wypadek w sklepie urządził za nadzwyczajną reklamę dla artysty, potępił bezwzględnie wystąpienie pani Szipa, a w najpoczytniejszym dzienniku podał następujące ogłoszenie: „Szanowną panią, która rzuciła się na szyję tenorowi, Tito Szipa w sklepie perfum, uprasza dyrektor opery o przybycie na najbliższe przedstawienie. Chciałby bowiem wyrazić jej swą sympatię i dać zezwolenie na absolutnie bezkarne całowanie wielkiego tenora“.

W następstwie ogłoszenia pani Szipa została obłożona przez cały szereg reporterów, którzy raz jeszcze prosili o wyjaśnienie w sprawie zajścia w perfumerji i pytali, jak reaguje na ogłoszenie dyrektora. Pani Szipa odrzekła, że w kontrakcie między dyrektorem a jej mężem nie było mowy o obcałowaniu go przez kobiety. Żaliła się wymownie na sytuację kobiety, która cały dzień otwierać musi listy miłosne, pisane do jej męża, odpowiadać telefonicznie ma ciągle zaprosiny lub umowy, słuchać wynurzeń miłosnych pod adresem jej męża i t. d. „Lecz jeżeli dyrektor chce wojny, to będzie ją miał“, zakończyła interwiew.

Obecnie tout Chicago czeka na zakończenie tej sprawy. Jedynym zwycięzcą jest narazie dyrektor opery, który co



A propos.

Życie pędzi ekspressem. Nie zatrzymuje się, jak pociąg osobowy, na każdej stacji, przechodzi obok niedoniosłych trików z pogardliwą miną na zblazowanej twarzy, spluwa suchotniczą śliną w kąt i pędzi dalej.

Nie ma czasu. Trudno oddechać. Płuca święta robią tysiące oddechów na sekunde.

— Umiał?... Kiedy?... Wczoraj?... Ach, to głupstwo!... Nie warto o tem myśleć...

— Złamał nogę?... Co pani mówi?... Ile pani zapłaciła za ten kapelusz?... Ładny...

Niewarto się zatrzymywać. Nie warto myśleć. Dalej, dalej, dalej!..

Spójrzcie przez okno na ulicę.

Gmatwanina nóg, zaplątany węzeł ludzi, kocioł parowy, buchający okrzykami, spojrzeniami, gestami, jak skondensowaną parą.

— Pss!... Pss!... Panie P.! Panie P.! Pozwól-no pan na chwilę!... Panie P.!

— No, co?... Słucham... Gadaj pan prędko!... Nie mam czasu!...

— Poczekaj pan!.. Czego się pan spieszy?...

— Dowidzenia panu! Albo pan mówi, albo uciekam!

— Zaraz... Zaraz... Panie P.! Pss!... Pss!... Panie P.!

Gorączka życia Temperatura myśli doszła do tego stopnia, że gdyby nasze ciało żyło w tem samym cieple — umarłoby już dawno.

Literatura jest odbiciem życia.

Kraszewski jest już niemodny.

Wszyscy czytają Iłję Erenburga.

— „New-York-city wrze. Monopla ny rozdierają gardła. Upał. Precik na wieży Eliffa przekuł niebo. Potogowie. Biały fartuch brodatego lekarza.

Wieczór każe wywieszać przed gmachem teatru czerwoną latarkę na znak, że sala jest wyprzedana. Wypełnia ją istotnie co wieczór po brzezi publiczność, która żadna jest zarówno dobrej muzyki jak i sensacyi.

wo. Bocian wzbil się pod obłoki. Wóz jedzie drogą“ i t. d.

I kto ma czas w takiej chwili czytać sążniste migawki?

Kto ma na to czas, kogo to obchodzi?

Zrozumiałem styl epoki.

Wyczułem tętno chwili.

Nie rozwodzę się (nie mówię o rozwodzie, lecz o rozwodzeniu się) nie rozciągam akcji, nie bawię się w retoryka, nie zawracam nikomu głowy, nie zabieram drogiego czasu, nie gędzę pół godziny, nie rozwadnam się, nie używam dygresji, nie odstępuję od tematu, nie rozpisuję się o niczem, lecz odrazu, bez wstępów, oznajmiam publicznie i lakonicznie, że wczoraj w sądzie nie było nic ciekawego. Juris.



Artysta teatrów wiedeńskich, p. Feldhamer, którego fotogeniczna twarz zwróciła uwagę amerykańskich reżyserów. Ma on być w najbliższym czasie zaangażowany do Ameryki dla filmu z królewską pensją. Ten sam trust kinowy ma zamiar, jak słyhać rozpocząć też pertraktacje ze znanym w Łodzi, warszawskim dziś artystą kabaretowym, p. Bodo. celem zdobycia do filmu.

Uparty samobójca. Unikał śmierci, żeby się móc zabić!

P. Eljasz Bussi był handlarzem diamentów. Mieszkał w uroczej miejscowości pod Paryżem, Vesinet, i stamtąd przyjeżdżał codziennie do swego biura, przy ulicy Caumartin. Liczył lat 45.

Iluż to ludzi pragnęłoby się znaleźć w jego warunkach! Widocznie jednak pozory mylą, i życie handlarza diamentów musiało mu się dać we znaki, gdyż postanowił je sobie odebrać.

Przed kilku dniami przyjechał jak zwykle z Vesinet do Paryża i wysiadł na dworcu Saint-Lazare. Wszedł do pobliskiego hotelu, wynajął pokój i zaraz tam się udał. Znalazłszy się tutaj, przystąpił do wykonania zamiaru.

Wyjął kawałek sznura, zrobił pętlę i począł się rozglądać na czemby umocować drugi koniec. W większości domów, wobec oświetlenia elektrycznego, niema już u sufitów klasycznych haków, służących niegdyś do zawieszania lamp. Wzrok jego padł na żelazną kłamkę u okna, na wysokości jakiegoś niespełna półtora metra.

Postanowił tedy powiesić się na kłamce, rzucić się na kolana i w ten sposób dokonać wyroku na samym sobie.

Nałożył pętlę, drugi koniec sznura zawieszał u kłamki i upadł. Stało się jednak, że kłamka przekręciła się, okno otwarło a samobójca odrzucony upadł na stojący obok niski fotel. Mogło się być wszystko skończyć gorzej. Dla kogo innego, być może taki obrót rzeczy byłby ostrzeżeniem, jednak on „zaciął się”...

Wstał, zdjął pętlę i pomyślał: niema co, trzeba kupić rewolwer!

Wszedł z hotelu, zapowiadając, że wróci za chwilę.

Najbliższy ruznikarz ma sklep o jakieś kilkaset metrów. Żeby się tam jednak dostać, trzeba przejść przez wielki plac przed dworcem, na którym w owej porze roi się od taksówko-

dów prywatnych, autobusów i tramwajów.

Pomimo wszystkich innowacji, wprowadzonych ostatnio przez policję, każdorazowe przejście przez plac przedstawia szereg bardzo licznych możliwości dostania się pod koła z wypadkiem śmiertelnym.

Eljasz Bussi musiał wyteńczyć cały spryt, zimną krew, uwagę, aby przejść bez wypadku na drugą stronę placu i nie zostać zabitym, po to jedynie unikając śmierci, aby w kwadrans potem móc się zabić!

Przeszedłszy szczęśliwie kupił rewolwer i naboje i rozpoczął drogę powrotną do hotelu. Na rogu ulicy du Havre i placu du Havre przypomniał sobie, że istnieje przecież przejście podziemne do kolei podziemnej na drugą stronę placu i że w ten sposób ma szansę uniknięcia wypadku przy przechodzeniu.

Tak też rzeczywiście uczynił. Ruznikarz, który mu sprzedał rewolwer chwilę przedtem, jakgdyby tknięty przecuciem, wyszedł za nim i zauważył, że p. Bussi istotnie zawałał się przed przejściem na drugą stronę, gdyż cofnął się z jezdni i wszedł do podziemnego kurytarza.

Po chwili wyszedł na powierzchnię na podwórzu dworca, kupił kilka dzienników w pobliskim kiosku i przeszedł znowu bardzo uważnie na drugą stronę ulicy Amterdam. Tutaj wszedł do baru, wypił kieliszek porto i poszedł prosto do hotelu. Wszedł do swego pokoju, wyjął z kieszeni kupione przed chwilą dzienniki. Jeden z nich otworzył, ale go nie czytał, gdyż znalazłono go na stole „do góry nogami”.

Siadł przy stole w fotelu i wpakował sobie kulę w głowę w prawą skroń. Policja rozpoczęła śledztwo, aby zbadać pobudki tego samobójstwa.

Człowiek pochodzi od... ryby.

W Ameryce rozmnożyli się pseudonaukowcy, którzy co chwila „rozstrzygają” najrozmaitsze teorie wszystkich dziedzin wiedzy. Pod tym względem zaczynają prześcigać ich niezliczeni „profesorowie” i „doktorzy” afrykańscy. Pomiędzy innymi prof. Dart z uniwersytetu Witwaterstrand, w kraju Beczuanów odnalazł czaszkę, która według jego opinii jest oddawna poszukiwanym praojcem człowieka. Odkrycia prof. Dart dokonał z pomocą swego kolegi, również profesora Junga. Ten ostatni usiłuje dowiedzieć, iż przaprzedkiem człowieka jest stworzenie zwane

lemur, które powstało z pięciopalcowej salamandry.

Prasa angielska obu wynalazców wzięła na zęby. Przyrodnicy fachowi, obdarzeni zmysłem humorystycznym o klaskują wynalazców afrykańskich i ni by popierając ich tezy, rozwijają teorie iż człowiek jak wykazały krańcowe badania pochodzi od... ryby.

Dowodem tego jest, iż każdego kłamcę, krętacza i oszusta, Anglik nazywa „afish”.

Prasa naukowa, sprawę powyższą opisuje w dziale „rozmaitości” narówni z innymi curiosami.

JERZY RZĘCKI.

67



Kryminalny romans kinematograficzny.

Mańka pierwsza spostrzegła się, że aczkolwiek są w obcym kraju, nie powinno się nawet po polsku mówić głośno o takich zamiarach. Mógł się łatwo znaleźć ktoś, rozumiejący po polsku i donieść komu należy, chociażby o tem, że takie tematy poruszają. To samo już mogło dobitnie świadczyć o tem, kim są owi podróżni i jakie zamiary skłoniły ich do odwiedzenia tutejszego kraju. Zaleciła więc kontynuowanie tej dyskusji w pokoju hotelowym, później nieco. Narazie zaś zaproponowała udanie się na przejażdżkę gondolą dookoła miasta. Tak też uczyniono.

I znów, jak wczorajszego wieczoru,

smukłe gondole uniosły ich wzdłuż kanałów Wenecji. Mańka i dwaj towarzysze z lepszych sfer umieli odczuć cały urok starej architektury weneckiej i zupełnie niezwykłą piękność rozciągających się przed ich oczyma widoków. Przypominały im się motywy szekspirowskie „Kupiec wenecki” i „Otello” oraz czytane i słyszane opowieści o tajemnych miłosnych przygodach weneckich. Innego zdania byli Antek i Franek, z którymi milcząco zgadzał się zresztą i „swój”, Janek. Twierdzili oni sceptycznie, że absolutnie niema się czem zachwycać, że kanały cuchną, że woda jest brudna, że płyną w niej po-

myje, wylewane z domów, i że nawet w najmarnej dzielnicy nietylko Warszawy, ale zapadłej miejsciny prowincjonalnej w kraju gospoście nie ośmieliłyby się wieszać nad ulicą pranej bielizny, z której kapaloby na głowę przechodnia.

Argumenty te opierały się zresztą rzeczywiście na zupełnie prawdziwych faktach. Na tem wszakże polega różnica między człowiekiem wykształconym a nieokrzyszonym, że w pierwszym urok architektury, a zwłaszcza aureoli, jaką otoczyła Wenecję fama, przytępiła jego poczucie rzeczywistości; nie dostrzega on jej, widząc tylko owe zalety, dla których część wpajano weni przez tak długi czas. Dla człowieka zaś, dla którego słowo Wenecja, jako takie, jest pustym dźwiękiem, zwykłą nazwą miasta, o tyle tylko niezwykłego, że nie sposób je obejść suchą nogą, wszelki urok Wenecji jest niedostępny, widzi on w niej bowiem tylko brud i czuje tylko nieprzyjemną woń.

Jadąc gondolą, Mańka rozmyślała nad planem, który już poruszono w rozmowach podczas śniadania. Początkowo wydał jej się istotnie bardzo pociągającym, lecz ostatecznie postanowiła go za niechać. Nie dlatego, by nie starczyło

jej odwagi, lub zabrakło chciwości. Przy czynu było zgoła inne. Po dłuższych rozmyśleniach doszła do wniosku, że tego rodzaju przestępstwo wymagałoby długiego przygotowania, byłoby niestety nie ryzykowne i co najważniejsze nie dałoby jej moralnego zadowolenia.

Przestępstwa nie pociągały ją same przez się. Zależało jej na skuszeniu kogoś i zniewolenia go do popełnienia przestępstwa pod jej hipnotycznym nakazem. Byłaby bardzo rada żeby znalazł się teraz ktoś, kto by jej się bardzo podobał i zapragnął ją posiadać. Wówczas napewno rzekłaby mu:

— Owszem, ale pod warunkiem, że zdobędziesz mi dla ozdoby mego naszyjnika, ten drogocenny rubin lub szmaragd z wielkiego ołtarza kościoła św. Marka.

Inaczej cała rzecz nie miałaby dla niej najmniejszego uroku...

Wogóle od samego początku jej kariery zysk materialny nie odgrywał u niej najważniejszej roli.

Te więc tylko motywy, a nie obawa przed świętokradztwem, skłoniły Mańkę od wydania polecenia nieporuszania więcej sprawy kradzieży w kościele św. Marka.

(d. c. n.)



Nowy instytut wulkanologiczny powstał w Neapolu. Zadaniem jego jest badanie zjawisk wulkanicznych.

Prawa amerykańskie są surowe. Dotknęły ostatnio ulubienca publiczności kinematograficznej, Charlie Chaplina.

Sławny aktor kinematograficzny, Charlie Chaplin, który podjął walkę z rządem amerykańskim, chcąc otrzymać pozwolenie dla swej matki by mogła mieszkać stale w willi w Hollywood — został przez surowe prawo zwyciężony.

Przed trzema laty Chaplin, powracając z Anglii do Ameryki, zabrał ze sobą matkę swoją, poddaną angielską. Otrzymał on wówczas pozwolenie na chwilowy pobyt jej w Ameryce, a to tylko z powodu choroby pani Chaplin. Sławny

Charlie, chciał, by matka leczyła się pod jego opieką. Dotychczas starszuszka, wciąż choruje, a rząd amerykański, którego prawo zabrania przebywania chorym obcokrajowcom stale w Ameryce żąda by opuściła ona kraj. Wszystkie próby i starania sławnego Chaplina speszły na niczem. Prawo nietylko zabroniło matce jego zostać w Ameryce, ale nakazało jej do dnia 23.3 opuścić Stany Zjednoczone w przeciwnym razie będzie siłą wywiezioną.

Króliczka urodziła słonia.

Tajemniczy wybryk natury koło Tuluzy.

Paryski „Matin” donosi o niezwykłym wybryku natury, jaki zdarzył się na południu Francji, w okolicy Tuluzy.

Króliczka, należąca do niejakiego pana Miramont, właściciela gospodarstwa rolnego, wydała na świat potworka, posiadającego bardzo dobrze rozwiniętą trąbę, zupełnie podobną do trąby słonia.

Mały ten potworek, pokryty białą sierścią, robił wrażenie zabawki dla dzieci lub ozdoby kominka. Życie jednak jego trwało zaledwie pięć dni.

Ku wiecznej rzeczy pamiętce, iż króliczka zapatrzeć się mogła na słonia, złożono martwe zwłoki potworka w słoju ze spirytusem i przesłano je do muzeum w Paryżu.

Sam skazał się na więzienie.

Dozorca plaży w kąpielach morskich Atlantic City, James Hoyt, stanął niedawno przed sądem, oskarżony o pijanństwo, wywołujące zgorszenie publiczne. Jak się zdaje, któryś z przemysłowców alkoholu dostarczył mu whisky i człowiek, ten nie mając dotychczas żadnych zatargów z policją, postawiony został przed oblicze sędziego. Sędzia, ujrzawszy go, zapytał go po ojcowsku:

— Czy przyznaje się pan do winy?

— Tak jest panie sędzio.

— Jak więc według pańskich wyobrażeń powinien pan być ukarany?

James Hoyt zastanowił się i po chwili powiedział:

— Panie sędzio, ja sądzę, że 90 dni aresztu zupełnie wystarczy. Wszak za służylem na przykładne ukaranie za okazaną przeze mnie lekkomyślność.

— Sąd zatwierdza zaproponowany przez pana wyrok — oświadczył sędzia i James Hoyt udał się zeskuszoną miną za wachmistrzem do celi więziennej.

Obleżenie Paryża.

Tłumaczył Lor.

Ilustrował St. Dobrzyński

Było to w czasie wojny francusko-pruskiej.

Nad Paryżem fruwały ogniste karacze, bębniły działa za miastem, głuchy warkot karabinów maszynowych rozlegał się coraz donośniej, jak turkot kół zbliżającej się dorożki.

Skwany dzień lipcowy dobiegał swego zenitu.

Upał zwiększał się z każdą chwilą.

Z murów domostw buchało wściekle gorąco, waliło żarem w ocieżale mózgi, potem zlewało twarz i całe ciało.

Ludzie sapali, biegnąc po ulicach miasta, kryli się w cieniu kawarnianych stolików, pili wodę sodową, lemonjadę z lodem, lecz chłodzące napoje nie mogły wpłynąć na mniejsze odczuwanie piekielnego żaru.

Odważniejsi udawali się za miasto, nad Sekwanę, skąd widać było pierwsze placówki pruskie, by w cieniu trzaw i nad brzegiem chłodnej rzeki do cuci umarzone lipcowym żarem ciała.

Ryzyko jednak było wielkie. Za miastem kule padały gęściej i obficiej, i nie można było znaleźć żadnego schroniska któreby zabezpieczyło spacerowiczów od grożącego niebezpieczeństwa.

A jednak byli tacy, którzy nie zważali na niebezpieczeństwo i spacerowali wśród drzew nadbrzeżnych, wdychając wonne zamiejskie powietrze.

Tych odważnych należał również Coboyen.

Wyszedł z domu i do południa błądził po mieście. Nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Zawlókł się więc aż nad brzeg Sekwany i spoczął na miękkiej trawie, gdy nagle ktoś go pociągnął za ramię.

Odwrócił się.

— Aaa!... Jak się masz, Briandzie!... Co tu robisz z tą siecią?...

— Ryby przyszedłem łowić... Chłódniej będzie nad rzeką, prawda? — odrzekł Briand.

— Teraz ryby łowić? Bój się Boga — prusacy strzelają na wszystkie strony!

— Głupstwo! Paryż się nie podda — nie bój się!... Nic się nam nie stanie!...

— Słuchaj mnie, bracie, zostaw sztukę rybołówstwa, a wstąp tu lepiej do jakiejś knajpki... Tam będzie bezpieczniej i lepiej...



Briand nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Po chwili siedzieli przy stoliku w podrzędnej knajpce i popijali piwo.

— Ujął... Nieznośny upał — pocił się Jack. Nie można wytrzymać...

— W dodatku głód... Od wczoraj zrana nie jadłem... — dodał Briand.

— Dla żony i dzieci wykrobałem w jakimś sklepiku pół funta kaszy... Tem się żywią... Ja tam wiele nie potrzebuję — kufel piwa i basta!...

— A jednak połknąłbym kawałek pieczeni...

— No, o tem się nawet myśleć nie chce...

Briand przysunął się bliżej do stołu, oparł się łokciami i bąknął:

— Słuchaj, a gdyby tak złowić trochę ryb i zanieść je do domu, co?... To byłaby dopiero uciecha!... Smaczne ryby na obiad, co?

Jack spojrzął na niego z podejrzliwością, jakgdyby chciał powiedzieć: „Jeszcze nie zwarzowałem!” i ofuknął go ostro.

— nie pleć głupstw!... Teraz chcesz ryby łowić? Pierwsza kula karabinowa zwali cię na ziemię jak pień!... Nie słyszysz jak wala działa?

Obaj nadstawili uszu. Wyteżyli słuch.

Twarze ich wyrażały wielkie zdziwienie. Kanonada ścisła.

Wokół panowała głucha cisza...

Wszyscy goście podnieśli się z krzesel.

— Co się sta?... Dlaczego nie strzelają?

Ta cisza denerwowała. Niepokoiła.

Każdy czuł się lepiej wśród tego huków dział wśród nieprzerwanej kanonady.

— Frusacy uciekają!... — rzucił ktoś beczajliwie, niepewnie.

Twarze wszystkich ludzi oblały się rumieńcem radości. Oczy rozblęskły dawno zagasłym płomieniem nadziei.

Jack nachylił się do ucha przyjaciela:

— No, chodź... Teraz można... chodźmy łowić ryby...

stym debem, patrząc z zadowoleniem na swój ogłity połów.

— Odoczywali nie długo. Gdy podnieśli głowy wokół panowała zupełna cisza, nikogo nie było.

Jack polnął swego przyjaciela w bok i rzekł trwożnie:

— Słuchaj, Briand... Spójrz tam... Jak ci się zdaje, czy się tam do nas zbliża?...



Briand podniósł głowę, zmrużył oczy w słońcu i odparł.

— Zdaje ci się... To drzewa... Ale gdzie są wszyscy spacerowicze?... Patrz jesteście sami...

— Może wrócimy, co?...

— I ja tak myślę...

Lecz w tej chwili z za krzaków wypadli na koniach dwaj pruscy żołnierze:

— Halt!... Halt!...

Obydwaj rybacy skoczyli na równe nogi.

— Co wy tu robicie? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Znaleźliśmy ich nad brzegiem rzeki... Chcieli uciekać — ale zatrzymaliśmy obydwóch... Zdaje się, że nas szpiegowali...

Aresztowani zbledli. Nie mogli wy mówić ani słowa.

— Aha!... — roześmiał się oficer. — A więc tak!... No, dobrze... A cóż panowie na to, co?... Szpiegdy, tak?

— iNe! — krzyknął Jack.

— A więc znacie hasło? Znać

nasze hasło?... O ile mi powiecie hasło — puszczam was w tej chwili na wolność!

Obydwaj milczeli. Skąd mogli znać hasło?... Nie mieli o niczem pojęcia. Łowili ryby w rzece — więcej nic nie wiedza.

— Daję wam dziesięć minut czasu. Jeżeli mi nie powiecie hasła — każę was rostrzelać, jak szpiegów! — rzekł oficer.

Twarze aresztantów skrzywiły się w okropnym bólu. Błędym wzrokiem oglądali się po pokoju, szukając ratunku. Minuty mijały. Oficer wyjął zegarek i liczył.

— Jeszcze dwie minuty!...

Hasło... — Hasło?... Jakie hasło?...

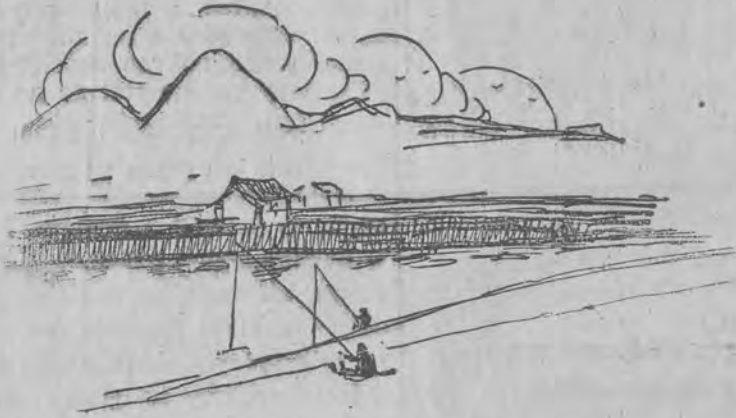
— Koniec! — oficer klasnął w dłonie. — Rozstrzelać!

Dwóch drabów wzięło ich pod ramię. Ustawili pod ścianą. Jack rzucił się do nóg i przysięgał, że jest zwykłym rybakim i łowił ryby na brzegu. Błagał o litość dla żony i dzieci. Briand zdaje się, zwarzował w ostatniej chwili. Stał bowiem nieruchomy ze łzami w oczach i poruszał białymi wargami.

Gruchnęła salwa. Dwa trupy padły na ziemię.

A nazajutrz znaleziono na brzegu sieć z rybami. Oficer pruski kazał te ryby usmarzyć, nie wiedząc, że był to połów Jacka i Brianda.

Koniec.



Briand przerzucił sieć przez plecy i obaj wyszli z knajpy. Na drodze zatrzymywali się przechodnie i zdziwionym wzrokiem przypatrywali się dalekim placówkom nieprzyjacielskim, które trwały nieruchome na jednym miejscu, jakgdyby pogrążone w głębokiej zadumie.

Jack i Briand usiedli nad brzegiem Sekwany.

Zarzucili sieć i zakasawszy spodnie do kolan weszli do chłodnej rzeki.

Była już pewnie druga godzina po południu, gdy znużeni pracą, położyli się nad brzegiem rzeki pod rozłoży-

— A nic... Ryby łowimy...

— Ryby?... Znamy wasze ryby... Jazda, za nami!

— Dokąd? — zdziwili się rybacy.

— Za mną, powiadam! Jazda! —

Nie było innej rady. Szli, trzymając się za ręce w stronę niemieckich okopów.

Gdy zbliżyli się do obozu, jeden z żołnierzy zsiadł z konia i zaprowadził obydwóch aresztantów do rozwalonej chatki, gdzie siedział na stole spasiony oficer pruski z fajką w ustach.

— Kto to?... — zapytał oficer, mierząc złym wzrokiem przybyszów od stóp do głowy.

Najwspanialszy KINO-TEATR „REDUTA” ul. Narutowicza 20. (Dzielnica daw. dmach teatru „Thalia”).

Dzisiaj i dni następnych początek o godz. 4 p. p. **TAJEMNICA DOMU KOENIGSMARK**

Całość - 2 potężne serie demonstrowane razem. Dramat łez krwi, bólu i męki, nerwów i mózgu, serca i przeczuć, myśli i uczuć, rozsądku i obowiązku. Dramat ludzi wielkich i małych budził nieopisaną zachwyt przez 8 tygodni bez przerwy w dwóch pierwszorzędnym kinoteatrach stolicy.

Uwaga: Wyświetlanie tego obrazu w Niemczech jest przez cenzurę niemiecką sorowo wzbronione.



Wczorajsze mecze futbolowe.

Ł.K.S. - Warszawianka 6:0 (3:0).

Ł.K.S. III - G.M.S. II 11:0 (9:0).

Po meczu Polonia — Tyruści, istnie gromy spadły na naszych biednych piłkarzy, a już miary dopełniła wiadomość o przypadkowej porażce naszego mistrza w Poznaniu. Wtedy to wszystkie oficjalne, pół i nieoficjalne organy i organki oraz filje i filijki, jakimi przezornie kluby stolicy, Łódź gęsto obsadziły piąły aż do ochrypięcia swoim „syrenim” głosem, że Łódź nie posiada godnych Warszawy przeciwników, że kluby warszawskie grając z słabymi łódzkiemi drużynami, narażone są na spadek w formie i wiele innych podobnych bredni.

Wprawdzie Tyruści grał ponížej swej zwykłej formy, której oni w dodatku, reorganizując się ustawicznie i kompletnie swą drużynę, zaraz na początku, za ledwie rozpoczętego sezonu sportowego nie mogli jeszcze osiągnąć. Te wszystkie pod każdym względem łagodzące okoliczności, gloryfikując sport stołeczny, filje łódzkie przemilczały, zapominając nawet o najważniejszej w tym wypadku rzeczy, że przez przesadzone obniżanie siły przez ciwnikła, wartość zwycięstwa w tym wypadku Polonii została poważnie obniżona. Każdy przyzna, że ze strony tych filji pewna doza wstrzemięźliwości, byłaby w takich wypadkach bardzo wskazana, zwłaszcza, że fortuna stale kołem się toczy.

I jak blade wyglądają dzisiaj te wszystkie przesadzone przechwałki! Czy po wczorajszej klęsce stołecznej, po mistrzu najlepszej drużyny, Łódź nie byłaby uprawniona do wypowiedzenia takich samych zdań, że drużyny stołeczne są dla drużyn łódzkich za słabe. Do wypowiedzenia tego zdania upoważnia Łódź, znacznie korzystniejszy wynik Ł.K.S. — Warszawianka aniżeli Polonii z Turystami.

Warszawianka wystąpiła w swoim najlepszym składzie, z niezrównanym Domańskim w bramce, który ją swoją orientacją i prawdziwie pierwszorzędną grą od dwucyfrowej porażki uchronił. Obrona i pomoc dobre, zwłaszcza ta ostatnia po bramkarzu była najlepszą częścią drużyny. Linja napadu kombinowała dobrze, lecz brak jej strzałów na bramkę.

Cała drużyna technicznie bardzo dobra i jednolita bez rażących luk. Na wyróżnienie nie zasłużył żaden gracz z drużyny gości, gdyż pracowali oni wszyscy ofiarnie. Natomiast trudno przemilczeć grę foul lewoskrzydłowego i obu linjowych pomocników oraz niecenzuralne i głośne wymyślanie sobie na boisku całej niemal drużyny.

Nasz mistrz niezrażony porażką w Poznaniu, wystawił ten sam skład, który okazał się, pomimo dość licznych jeszcze rezerw, które z powodzeniem potrafiłyby jego barw bronić trafnym i prawie doskonałym.

Sobociński w bramce nie miał wiele pracy, lecz te kilka strzałów, które obronił, należały do bardzo trudnych, a już obrona rzutu karnego należała do klasycznych. Cyll i Karaś z początku niezbyt pewni, poprawiali się niemal z każdą chwilą tak, że Karaś w drugiej połowie grał, jak za najlepszych swoich czasów. W pomocy najlepszym był Trzmiel od samego początku aż do końca, natomiast obaj boczni, a przede wszystkim Gabryel popełnili w pierwszych 15-tu min.

cały szereg rażących błędów; z biegiem gry osiągnęli obaj wymienieni również doskonałą formę.

W linii napadu najlepsi owicjusze, Ałaszewski i Janczyk, Durka miał przeciw sobie najlepszego gracza Warszawianki Pucmana, który aż do „spuchnięcia” tego ostatniego dawał się mu poważnie we znaki. Jednakże w drugiej połowie Durka był już znacznie lepszy od swego przeciwnika.

Cała drużyna grała bardzo celowo, a linja napadu, w której na środku napadu swoją szybkością, orientacją i obfitością strzałów brylantował wprost Ałaszewski; okazał on się również bardzo dobrym kierownikiem całej czwórki, wysuwając wszystkim po kolei i w miarę ustawiania się tychże i dla dalszej gry i do strzału bajeczne piłki.

Naogół drużyna Ł.K.S. w tym składzie i przy takim zapale i ambicji, jak wczoraj, może się zmierzyć bez obawy z każdym, poważniejszym przeciwnikiem.

Przebieg gry: Zaczyna Ł.K.S. i podchodzi pod bramkę gości, poczem dwuminutowa gra na środku. Obie drużyny forsują skrzydłami, wykorzystując lepszy teren. Boczni pomocnicy Ł.K.S. z początku słabi przepuszczają szybkie skrzydła Warszawianki pod swoją bramkę. — Przewaga gości, trwająca około trzech minut spęzła bez rezultatu.

Gra otwarta, ataki Ł.K.S. dzięki obfitym strzałom są bardzo niebezpieczne. Domański broni z kocią zwinnością i z powodzeniem cały szereg celnych strzałów, zmuszony jest jednak trzykrotnie przed Ałaszewskim, Langem i Durką kapitulować; należy jednakże zaznaczyć, że wszystkie trzy strzały były bardzo ostre, i w dolny róg bramki skierowane, przy których on wprawdzie za każdym razem piłkę dotknął, lecz złapanie jej było fizycznie niemożliwe.

Pauza 3:0 dla Ł.K.S.

Po przerwie Ł.K.S. gra z wiatrem, to też piłka tylko przebojami przedostaje się na jego połowę boiska. Przy jednym z takich wypadów, obrona Ł.K.S. zawiąza rzut karny bardzo dobrze strzelony, lecz jeszcze lepiej obroniony przez Sobocińskiego i w tej samej minucie bramka gości znalazła się w opresji, gdzie znowu obrona gości popełniła ten sam błąd. Egzekucję karnego powierzono Durce, który ją bajecznie wykonał, strzelając zupełnie słusznie z powodu błota, w którym piłka mogła się zatrzymać — pod poprzeczkę i czwarta bramka siedzi.

Przy stałej przewadze mistrza Łodzi uzyskuje jeszcze Lange wspaniałym strzałem piątą, a Durka przypieczętuje „dobiciem” szóstą i ostatnią bramkę dla swych barw. Sędzia p. Wieliszek dobry.

Ł.K.S. III — G.M.S. II 11:0 (9:0).

Mistrz klasy C z trzema rezerwowymi miał decydującą przewagę, wskutek czego i rezultat mógłby być znacznie korzystniejszy, gdyby nie połowanie na bramki i gra solo poszczególnych graczy tak, że np. prawoskrzydłowy, który nigdy nie zawodził, na tym meczu nie oddał ani jednej nadającej się do użytkowania piłki. Sędzia, p. Segal bez pojęcia Fr. Romanek.

Walki francuskie w cyrku.

Jaago pokonał Weinurę.

Była to najpiękniejsza walka turnieju.

Dziś sensacyjny mecz bokserski: Karsch — Pinecki.

Dzień wczorajszy przyniósł nowe zwycięstwo Janowi Jaago i tym razem nad wspaniałym technikiem Weinurą.

Spotkanie tej pary było prowadzone w błyskawicznym tempie i obfitowało w niezliczoną ilość emocjonujących momentów, nie mówiąc już o trickach i sztuczkach technicznych, gdyż pod tym względem, nie miało sobie równego.

Nic dziwnego, tak Jaago, jak i Weinura są bezwzględnie najlepszymi technkami turnieju, a występy ich są prawdziwą przyjemnością dla oka widza.

Walka tej pary, prowadzona przez cały czas w morderczym tempie, była jednak bardzo delikatną i spokojną.

Przez cały prawie czas inicjatywa leżała w rękach Jaagi, którego błyskawiczne ataki odpierał Weinura nadzwyczaj umiejętnie.

Momenty tej walki były przebajeczne. W pierwszej chwili udaje się Weinurze schwytać Jaagę w podwójny nelson.

Jaago okrąża go kilka razy dokoła siebie i pada z nim na ziemię, lecz kocio zwinny mandżur wykręca się, jak piskorz.

Po 28 minutach takiego koncertu technicznego znajdują się obaj w pozycji mostowej, zwróceniu głowami do siebie.

Obaj jednocześnie czynią wysiłki przeciwnika, lecz po chwili znów wracają do mostów. Nagłym ruchem udaje się Jaagdzie wykręcić z tego i ciężarem ciała przygnieść mandżura do ziemi.

Walka trwała 30 minut.

W drugiej parze spotykał się Karsch z Petrowiczem.

Było to spotkanie rewanżowe na żądanie Karscha, który ofiarował dla zwycięzcy 300 złotych. Pierwsze dziesięć minut tej walki toczą się w pozycji górnej i z tej też pozycji udaje się Karschowi złapać Petrowicza w podwójny nelson.

Petrowicz, widząc, iż wysiłki uwolnienia się z chwytu są daremne padł na parter, lecz tak niefortunnie, że zwichnął sobie rękę.

Z tego też powodu walka została po upływie 16 minut przerwana.

Pozatym walczył jeszcze w dniu wczorajszym Swaton z Wildmanem.

Przez cały prawie czas spotkania miał ordynarny czech lekką przewagę, gdyż Wildman walczył nieco słabiej niż zwykle i ograniczał się jedynie do defensywy.

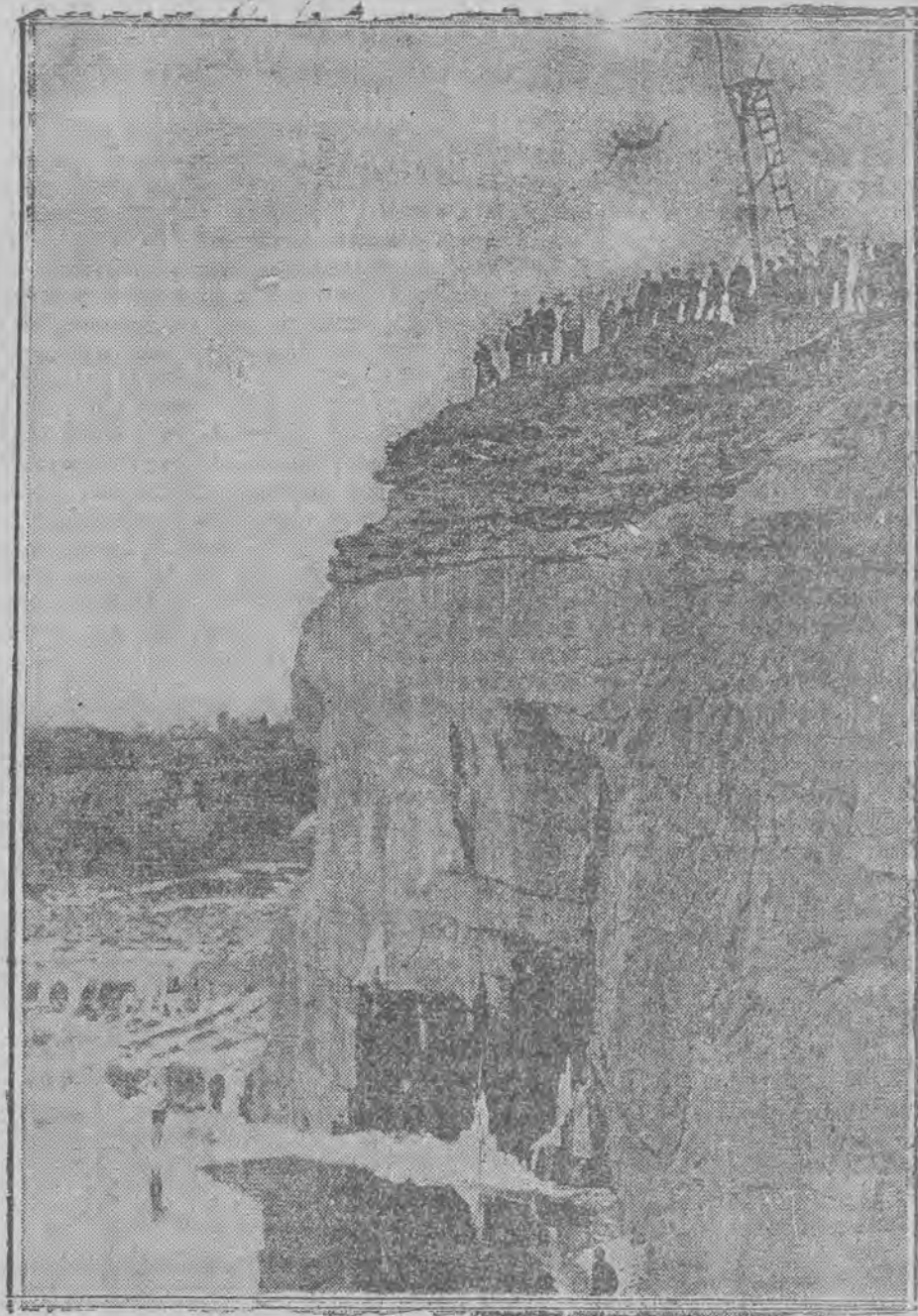
Profesor Arnold musiał kilkakrotnie interwenjować, gdyż bezczelność czecha dochodziła do ostatnich granic.

Spotkanie, po dwudziestupięciu minutach skończyło się wynikiem remisowym.

Dziś odbędzie się wielki mecz bokserski między Pineckim a Karschem.

Wiadomość ta wywołała w mieście zrozumiałe zainteresowanie i niezawodnie cyrk w dniu dzisiejszym będzie przepelniony. Pozotem walczy Sobieski z Bjerem i Noestrem z Bartkowiakiem.

Spotkanie ostatniej pary jest decydujące. W.



Sensacyjne popisy siynnego pływaka amerykańskiego Tlitha, którego specjalnością są skoki z wysokiego drzewa, rosnącego nad stromym brzegiem górskiej rzeki do jej spienionych fal.

